



WYWIAD

Anna Weronika Brzezińska

„Jestem z Wielkopolski, słyszę tę muzykę”. Rozmowa z Dagmarą Gregorowicz, współzałożycielką i liderką polsko-ukraińskiego kwartetu Dagadana

Zespół Dagadana znany jest z inspirowania się różnymi stylami muzycznymi, ale Waszym znakiem rozpoznawczym jest łączenie folku z elektroniką i jazzem. Naszych Czytelników zapewne bardzo zainteresują same początki tej niezwykłej polsko-ukraińskiej formacji. Kiedy się wszystko zaczęło i w jakich okolicznościach?

To wyszło bardzo naturalnie. Dana Vynnytska, ja i Mikołaj Pospieszalski spotkaliśmy się na warsztatach jazzowych w Krakowie w 2006 roku. Zaprzyjaźniliśmy się, spotykaliśmy co roku na warsztatach. Ja w międzyczasie zaożyłam zespół z innymi znajomymi z warsztatów, z którymi pojechalismy odwiedzić znajomych na Ukrainę. Podczas naszego pobytu tam okazało się, że Dana dostała stypendium „Gaude Polonia” naszego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które jest przeznaczone dla twórców kultury z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w pierwszej kolejności z Białorusi i Ukrainy. W ramach stypendium Dana miała przyjechać na pół roku do Polski. Powiedziałam jej wtedy: „Dana, to jest znak – robimy zespół”. Ona spojrzała na mnie dość dziwnym wzrokiem, pytając: „tylko my dwie?”. A dlaczego nie. I przyjechała do Polski. Od razu pojechalam do Warszawy, zrobiliśmy próby i okazało się, że mamy jakiegoś genialnego pomysłu. Miałyśmy swoje kompozycje, a także chciałyśmy zaciekawić się nawzajem, jedna strona druga, swoją kulturą, więc w naturalny

le ich koncertów i zaprzyjaźniłam się z tym zespołem. Grający w zespole basista i kontrabasista Karim Martusewicz powiedział mi kiedyś, że powinienam przyjechać na warsztaty muzyczne do Krakowa, w których on też uczestniczył jako wykładowca. Myślałam, że to nie dla mnie, że jestem zbyt słabym adeptem. Karim poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Tak, dasz radę”. Pojechałam przerażona, bo nie znałam żadnych standardów jazzowych oprócz znanych *Summertime* i *Autumn leaves*. Tam w klasie wokalne spotkałam Danę. Trzeba było zaśpiewać w ramach przedstawienia się improwizacje na danym standardzie. Więc zaśpiewałam tak, jak sobie śpiewam pod prysznicem. Po zajęciach Dana przyszła do mnie i powiedziała, że mam bardzo ciekawe pomysły, tylko jeszcze technika u mnie kuleje, ale technika to rzecz nabyta, a z pomysłami się ktoś rodzi albo nie. I tak się zaprzyjaźniłyśmy. Dla mnie to było bardzo ważne, bo dało mi jakiś promyk nadziei, że może mogą jednak coś z muzyką robić, bo zawsze o tym marzyłam, tylko do muzycznej szkoły mnie nikt nie posłał. W wielkim skrócie tak się stało, że dzięki Danie złożyłam papiery do Studium Piosenkarstwa im. Czesława Niemena w Poznaniu. Dostałam się tam i skończyłam tę szkołę głównie po to, żeby mieć poczucie tego, że mogę to robić. Nie mam już aż tak dużych kompleksów, chociaż nadal jestem niewykształconym muzykiem, bo nie gram na żadnym instrumencie. Wypracowałam jednak swoją technikę tworzenia elektroniki na kontrolerach didżejskich i w tym mogę śmiało powiedzieć jestem dobra.

Jak wyglądało Wasze pierwsze pół roku pracy, kiedy Dana była w Polsce na stypendium?

Wpierw był duet. Po kilku miesiącach dołączył do nas Mikołaj Pospieszalski, bo potrzebny był basista. Potem długo graliśmy jako trio. Ale zanim to nastąpiło, jeździłam chwilę do Warszawy. Pewnie byśmy tak tkwiły w studio na próbach jeszcze kilka miesięcy, gdyby nie telefon od tego samego basisty Voo Voo – Karima Martusewicza, który powiedział: „Słyszałem, że coś próbujecie, w niedzielę jest cykl »Duety grają do niemych filmów w Cof-

fecie Karmie«, to zagrałybyście w Warszawie”. Mówimy: „Ale jaki niemy film? Myśmijesz – gdzie nie grały razem publicznie?”. Nie miałyśmy nic przygotowanego. Był piątek, w sobotę Dana nie mogła się spotkać, w niedzielę występ. Skąd tu wziąć niemy film o tej porze. Przypomniłyśmy sobie, że miesiąc temu podarowałyśmy naszemu koleźce, który jest yodem właściciela studia, film o Godzilli [*Godzilla: Król potworów*, 1954, reż. Ishiro Honda]. Wyłączyłyśmy dźwięk i skomponowałyśmy muzykę. W niedzielę odbył się nasz pierwszy koncert. Dana jest wykształconym muzykiem, jest po konserwatorium. Była zderwana. Dla mnie to był tym bardziej streśujący występ, bo po raz pierwszy grałam ze swoim zespołem. Po koncercie Karim Martusewicz podszedł i powiedział, że to było niesamowicie kreatywne. Uważam, że w każdej dziedzinie ludzie powinni chwalić siebie nawzajem. Te słowa nas uskrzydliły. Polacy są narodem, który łatwo krytykuje wszystkich, a każdy potrzebuje odrobiny miłości. Ta dawka dobra spowodowała, że pchnęliśmy nasze działania dalej i potem bardzo ciężką pracą doprowadziliśmy do tego, że teraz mamy już wydane cztery płyty. Ale to nie było łatwe, bo Dana po półrocznym stypendium wróciła do domu, na Ukrainę.

I co się działo z zespołem potem? To już było dalej niż z Poznania do Warszawy...

Dana myślała, że to jest półroczny projekt na czas stypendium w Polsce. Jej wyjazd nie dawał mi spokoju. Nie chciałam, by to była tylko przegoda. Muzyka stała się moim życiem. Zaczęłam organizować kolejne koncerty. Okazało się, że ludziom się to podoba, bo po kilku pierwszych występach dostaliśmy zaproszenie na Open'er Festival w Gdyni. To było w roku 2008. Potem pojawiły się pierwsze wyjazdy zagraniczne. Nagle przyszło zaproszenie na Festiwal Ludów Pustyni w Maroko... Dla naszego zespołu, który nie gra przebojów popularnych, to był wielki skok i zapowiedź długiej, wspaniałej muzycznej podróży, która trwa do dziś. To było niesamowite, ale moi rodzice dłużej nie wierzyli w to, co robimy. Mój tata dopiero po pierwszej płycie *Mateńka*, za którą w 2011 dostaliśmy nagrodę Fryderyka, usiadł, chwy-

cił nagrodę, rozplakał się i powiedział: „Nie wierzyłem w siebie”. Mimo że moi rodzice nie myśleli o mnie w kategorii zawodowego muzyka, od samego początku wspierałam mnie na każdym, nawet najbardziej szalonym kroku. Gdyby nie pomoc i wsparcie naszych bliskich, tego zespołu na pewno by nie było. Kiedy przed nami stało wiele trudnych decyzji, służyli dobrą radą. Kiedy mieliśmy długi, pożyczyli nam pieniądze, sfera finansowa przy takim projekcie nie jest łatwa, kiedy wszyscy mieszkają w innych miastach, a czasami krajach.

Kiedy zaczęły się Wasze podróże muzyczne w poszukiwaniu inspiracji? Maroko było pierwsze, ale potem pojawiło się przeciętę mnóstwo innych krajów, regionów i kultur.

Podróże muzyczne zaczęły się już od samej nazwy zespołu, od realizacji tego, że jesteśmy polsko-ukraińskim składem. Jak prezentowaliśmy się w Polsce, to również mocno chcieliśmy grać i na Ukrainie. Potem nasi fani zaczęli pisać do nas z Berlina, więc wystąpiliśmy w Niemczech. Po występach w Niemczech właśnie od razu poleciliśmy do Maroka. Dopiero w samolocie dotarło do nas, gdzie lecimy, a na miejscu okazało się, że to jedna wielka przygoda. Spotkaliśmy fantastycznych muzyków. Jednego z nich, Hmad ait Imbrahima, który był naszym kierownicą, zaprosiliśmy do Polski na nagrania. Stwierdziliśmy, że nie ma nic fajniejszego niż grać z innymi artystami. Tak samo jak przez jedzenie, tak i przez muzykę można poznać inną kulturę. Następny album był związany z twórczością Tadeusza Różewicza. Na płycie nie znalazły się kompozycje ludowe, za to pojawił się wspaniały gość z USA – Frank Parker. To też było dla nas bardzo ciekawe wyzwanie muzyczne. Potem przy współpracy z ambasadami RP udało się odwiedzić Singapur, Indonezję, Malezję. Ale kiedy przyszło do powtórzenia tej trasy, na horyzoncie pojawiły się występy w Chinach, gdzie spotkaliśmy założyciela Instytutu Polskiego – Macieją Gałę, zresztą poznaliśmy. Niesamowita postać, która teraz pracuje na Tajwanie. Zdradziliśmy mu marzenie o chęci muzykowania z Chińczykami, która wynika z silnej potrzeby grania z lokalnymi artystami niez-

leżnie od odwiedzanego miejsca. W ten sposób bardzo chcieliśmy doświadczyć kultury chińskiej. Ta muzyka czasami nawet dla wytrawnego słuchacza bywa ciężka w odbiorze. Było to nie lada wyzwanie. Już następnego dnia Maciej pokazał nam DVD zespołu North Lab. Od pierwszych dźwięków zakochał się w ich muzyce. Następnego dnia mieliśmy przyjąć na próbę do jednej z sal ambasady. Czekali na nas muzycy z North Lab! Musieliśmy mieć jakąś bazę, więc bazowaliśmy na naszych utworach i w międzyczasie Dana przygotowywała chiński utwór ludowy, który chcieliśmy przygotować na finałowy koncert naszego pobytu. Udało się wspólnie zagrać koncert, który był transmitowany przez chińskie radio publiczne i wszyscy byliśmy zadowoleni z siebie. Klamiemy się, a tu ludzie podchodzą, pytają, czy są wspólne płyty, kiedy następnym koncert? Trzeba było na to pytanie przede wszystkim sobie odpowiedzieć, czy jesteśmy w stanie podobać czemuś, co na co dzień rzadko się dzieje. Stwierdziłam, że do odważnych świat należy, najwyżej się nie uda, ale głupio by było, żeby stojąc przed taką możliwością, z tego nie skorzystać. Trzeba było wymyślić, jak się znowu spotkamy. Aplikowaliśmy na showcase najważniejszych targów muzycznych w Pekinie. I dostaliśmy się. Poleciliśmy, odnosząc spory sukces na miejscu. Czas pobytu z minimalną ilością na sen przeznaczaliśmy na występy i pierwsze wspólne wejście do chińskiego studia nagrań. Studio okazało się być fatalne. Większość materiału została źle nagrana, zmieszona. Trzeba było [pomiędzy] kolejne koszty nagrań w Polsce, chłopacy musieli jeszcze raz nagrywać w Chinach. Jednak po pokonaniu tak wielu przeszkód już nic nie mogło nas odwieść od doprowadzenia sprawy do końca. Zmiksowaliśmy i wydaliśmy płytę *Meridian 68*, która dostała wiele nominacji do nagród i pochlebnych recenzji. Płyta znalazła też wydawcę w Chinach i Niemczech. Wkrótce będzie dysytuowana w wielu krajach na świecie dzięki prestiżowej wytwórni Jaro Medien GmbH.

A czy w Polsce też szukacie inspiracji dla swojej twórczości? I czy szukacie głównie w archiwalnych nagraniach, czy czasem jeżdżicie w teren?

Oczywiście. Na tej płycie jest tylko jeden utwór chiński oraz wstawki śpiewane po mongolsku przez Hasibagena. A tak to głównie polska i ukraińska muzyka stanowią bazę naszych poszukiwań. Na najnowszej płycie znalazł się utwór z Biskupiny *Rano raniusieńko*. *Nie będą się kłopotali*, jak i *Siatem prosa na zagone* znaleźliśmy w bibliotece w jednym z poznanskich domów Oskara Kolbego. Są też kurpiowskie utwory: *Jestem sobie starozina czy Ujeziorecka*. Nagraliśmy też utwory, których nauczyli nas dziadkowie (ukraiński *Kobyrne moroz*, *Tecze rzeczka newelyczka*). Nagraliśmy także te utwory, których nauczyliśmy się na warsztatach muzycznych. Na przykład we Wrocławiu u Olgi Chojak w Laboratorium Strażników Tradycji (*Ujeziorecka*).

Kiedy pojawiła się po raz pierwszy na Biskupinie?

To było w 2015 roku. Na poprzedni Tabor zapisałam się i nie pojechałam, bo znalazły się ważniejsze zajęcia. Potem stwierdziłam, że tak nie może być. Wiele osób tam regularnie bywa, a ja jeszcze nie. A przecież jestem z Wielkopolski, słyszę tę muzykę, wiem, że gdzieś ona we mnie pulsuje, ale jeszcze jej nie rozumiem, a bardzo chciałabym poznać. No i pojechałam na Tabor. Na początku nie wiedziałam, czy się odnajdę, bo nie byłam wtedy wkręcona w poznańską środowisko ludzi, którzy zajmują się muzyką tradycyjną. Trochę się bałam odrzucenia, bo jest dużo ludzi, którzy traktują muzykę tradycyjną z wielkim szacunkiem, ale nie rozumieją tego, że ktoś może ją inaczej rozumieć i łączyć z innymi gatunkami. Moje obawy okazały się być niesłuszne. Czekałam się jak w domu. Trafiłam do klasy pani Ani Chudej (dziś mojej Mistrzyni). Z racji pokrywania się warsztatów wokalnych nie mogłam uczestniczyć w innych śpiewach, ale zapisałam się także na teatr do Jacka Hałasa i na taniec. To było istotne, żeby nauczyć się dobrze tańczyć wiaty. Zgłosiłam się również na zajęcia stolarskie (będąc antytalentem w tej dziedzinie). Ale to nie obcowanie z drewnem było sednem tych warsztatów, a poznanie prowadzącego – pana Franciszka Jesiaka. Pan Jesiak prócz drewna ukochał sobie muzykę. Jest świetnym śpiewakiem i tancerzem i dzie-

ki niemu oraz pani Ani poznałam tak naprawdę to, co mnie najbardziej zachwyciło w tym regionie – ich prawdę, tradycję i wielką chęć przekazania ich dalej. Zarówno starsi, jak i młodzi (choćby świętni artyści grający, śpiewający i tańczący w Zespole Biskupiańskim) byli zachwytem, że ludzie z miasta przyjeżdżają i dostrzegają w tej tradycji coś wyjątkowego. Na pierwszym moim Taborze nie było wiele osób, dzięki czemu wszyscy mogliśmy się dobrać poznać. Zaprzyjaźniłam się tam z Magdaleną i Darią z grupy Biskupianki w Podroży (szukajcie ich na Facebooku). Do dziś regularnie jeżdżę na spotkania w rodzinnym domu Magdy w Żychlewie, gdzie spotykamy się przy śpiewie i dźwiękach skrzypiec podwiązanych oraz dud wielkopolskich.

Biskupiańska piosenka *Rano, rano, raniusienko* była miłością od pierwszego usłyszenia. Gdy tylko pani Ania zaczęła ją śpiewać, od razu w mojej głowie pojawiła się wizja jej opracowania przez zespół Dagadana. Spytalam panią Anię, czy nie będzie miała nie przeciwko, a ona powiedziała „a gdzie tam”. Dopiero po koncercie premierowym promującym *Meridian 68* powiedziała, że zawsze podchodziła do tych zespołów, które zajmują się muzyką tradycyjną, łącząc z innymi stylami, z wielkim dystansem i im nie ufała, ale zmieniła zdanie. Po koncercie, którego jej występ był integralną częścią, udzieliła dla Radia Merkury Poznań takiego wywiadu, że aż się poplakałam, usłyszawszy tę wypowiedź. Same pochwalne zdania i radość wynikająca z tego, że ta muzyka przetrwa. Niedawno nagrywaliśmy wideo siebie, w której jesteśmy w różnych stylizacjach, także jednej biskupiańskiej. To będzie wideo dostępne na całym świecie i zwróci uwagę na ten niezwykły zakątek Polski.

Dagadana to też niesamowite stylizacje. Wasz wizerunek sceniczny jest charakterystyczny, wyrazisty, rozpoznawalny. Jak widzieć zdobienia Waszych głów, od razu wiadomo, że to Dagadana. Skąd pomysły na takie nie tylko muzyczny wizerunek, ale też estetyczny?

To się wzięło z tego, że o ile muzycznie wiemy, jak chcemy się wyrażać, to wiedzieliśmy, że czegoś nam brakuje w ubiorach. One

entuzjastycznie zareagowali, słysząc w niej czeski odpowiednik.

Wróćmy jednak na swoje wielkopolskie podwórko. Wiem, że znajdzie tu jeszcze setki pięknych utworów. Nie mogę się doczekać czasu spędzonego z kolejnymi mistrzami.

Kilkakrotnie podczas naszej rozmowy pojawiła się mama i babcia, które Cię uczyły. Opowiedz coś o nich. To ważne postacie w Twoim życiu? Wszystkie jesteście Wielkopolankami?

Siedzimy w kuchni, która jest najważniejszym spoiwem tego domu. Na tym siedzeniu siedziała moja babcia. Wychowywała mnie właściwie dwie kobiety – mama i babcia. Przez podstawówkę częściej jednak rozmawiałam z babcią, bo przychodziłam ze szkoły, to babcia przygotowywała obiad albo pomagała mamie. Mama była w pracy. Często jest tak, że najbliższej osobie, mamie, nie wystarczy się powie, gdy się dorasta, a sekretary zdradzi koleżance albo przyjaciółce. Moją przyjaciółką była babcia Irenka. Razem z mamą Magdą uczyły mnie nie tylko piosenek ludowych. Mama dbała o to, żebyśmy w domu znali gwary poznańską. Chociażby z tego wynikało, o której godzinie chodziliśmy do kościoła – tak żeby można było wrócić i wysłuchać słuchowiska w Radiu Merkury. Choć babcia słysznie gwara nie mówiła, starała się, by za pomocą gwary w nas miłośno do „pyry”, „bimby”, „wiaruchny”, „kejtra” czy „blubrow”. Związek znał nie tylko dużo słów pochodzących z gwary poznańskiej, ale i wiele języków obcych. Pochodził z inteligentnej rodziny. Posługiwał się piękną polszczyzną.

Wspólne spotkanie z gwara poprzez szkolenie obiadu przy głośno nastawionym radiodiodomiku. Nie używa się tego na co dzień, ale uważam, że Radio Merkury zrobiło swoje i Stary Marych.

A czujesz się Wielkopolanką?

Oczywiście! Jestem poznańską, pyra – te! Chociaż czasami jestem więcej poza Poznaniem i Wielkopolską niż w domu, za to wszędzie mówię, że jestem z Poznania i w każdym wywiadzie, nawet jak się nie pytają, to mówię „jestem z Poznania”. Uważam, że stąd pochodzi

w promocję Biskupizny jest niewielki. Ale każda kropla draży skatę. Chocby mała zmianaka podczas wywiadów przyczynia się powoli do rozpowszechnienia tej niezwykłej kultury.

A czy poza Biskupizną w Wielkopolsce jeszcze poszukujecie, czy macie w planach?

Bardzo bym chciała, jestem otwarta. Często jest tak, że ktoś gdzieś coś powie i zachęci mnie do spróbowania. I to wtedy jest zaczątek czegoś nowego. Miałam raz kontakt z jednym z dudziarzy, który mi napisał, że przeinauczylismy słowa w jednej piosence, że powinno być „zalecoł” mi się z Perzyn „świniorz”, a nie „z Pierzyn”. To jest ciekawa sytuacja, bo z jednej strony można powiedzieć, że zrobiłiśmy błąd na płycie, ale tutaj wchodzi nauka z przekazu usinego. Mnie moja mama i babcia uczyły, że „świniorz” pochodzi z Pierzyn. Więc w naturalny sposób uznałam to za pewnik. Teraz raz raz śpiewam „z Perzyn”, raz „z Pierzyn” i tak w ciągu trwania piosenki myślę i o babci, i o panu dudziarzu. Można by było bić się w pierści, ale czym jest przekazywanie tradycji? Właśnie też tak często ewoluowały piosenki, bo były przeinauczane, więc podchodziło do tego ze stoickim spokojem.

Wierzę w to, że dużo rzeczy samych przychodzi, gdy przez przypadek kogoś poznasz. Ostatnio zauroczyła mnie osoba Martynty Żurek. Czekam na przerwę koncertową i mam nadzieję, że będzie mi dane spotkać się z nią kilkakrotnie.

W poszukiwaniach ważni są też ludzie na płycie. Przy tworzeniu książeczki do najnowszej płyty zaprosiłam do współpracy Olgę Chojak, która czuwała nad polską odstoną i jej opisami. Teraz, gdy płyta jest wydana, wiem, że można by było dużo rzeczy dopisać. Ludzie nam mówili: „a wiesz, z tym utworem jest jeszcze związana inna historia, ten utwór ma drugie dno”. Na przykład jest utwór ukraiński, który opowiada o tym, że żołnierz wraca z wojny z żoną. Okazuje się, że ma drugie dno, które opowiada o tym, że żona symbolizuje traumę, w którą wzięcia się podczas wojny.

Inna sytuacja tyczy się Czech, gdzie przedentowaliśmy utwór *Wyszła dziewczyna* śpiewany na raz po ukraiński i polsku. Słuchacze

zmiernie ciekawe było, jak Ukrainka, która jest stylistką, spojrzy na taki strój i czy jej się on spodoba, czy też nie. Dominice spodobały się nakrycia głowy, które nazywają się budami, które na Biskupiznie były od jakiegoś czasu *passé*, a wedle tradycji powinny być noszone przez mężatki. Teraz większość pań nosi wyłącznie kopki, bo one są takie piękne, charakterystyczne, a w budach wygląda się (według większości) jak stara baba. Nie podzielałam tego zdania. Biskupianki w Podróżu postanowiły przywrócić budy na Biskupiznie. Śledziły stare fotografie, wypytywały swoje mamy i znajome gospodynie o każdy detal i teraz podczas procesji Bożego Ciała w Domachowie zaprezentowały się w budach. I ja w ramach tej akcji (jednak nie będąc jeszcze mężatką) przyodziałam to piękne nakrycie głowy. Widać było, że niektóre panie krytycznym okiem spoglądały na ten wybrzyk, ale nawet proboszcz powiedział, że jest wzruszony. Pani Ania Chuda i wiele Biskupianek starszej daty powiedziały, że są wzruszone. Bały się, że ten element stroju już nie powróci.

Tabor, późniejszej kontakt z Biskupiankami w Podróżu, teraz powrót na Boże Ciał do Domachowa. Czy jeździłaś też sama do pani Ani, do pana Franka na rozmowy, naukę, na śpiewy?

Stwierdziłam, że jedno spotkanie w roku to dla mnie za mało i zaprzyjaźniłam się przede wszystkim z Magdą z Biskupianek w Podróżu. Stwierdziłyśmy, że będziemy się raz na jakiś czas spotykać u niej w domu, w Żychlewie. Jadę, nocuję i tak uczestniczę w domowych spotkaniach zarówno z panią Anią, jak i w gronie przyjaciół Magdy, z którymi śpiewamy, bo to sprawia nam ogromną radość. W spotkaniach uczestniczy niesamowity Michał Umlawski, dudziarz, który jest Chazkiem z sąsiedniego mikroregionu, ale też część ludzi z zespołu biskupiańskiego, w tym tego kierownik, multinstrumentalista Krzysztof Polowczyk. Na Biskupiznie i na jej obrzeżach jest coraz więcej potencjów. Ten region żyje. Biskupizna została wpisana na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Jako reprezentantka Dagadany wpisałam się na listę Partnerstwa, chociaż mój wkład

jeszcze cały czas ewoluują. Bardzo nam się spodobały stylizacje Dominiki Dyki z pracowni Treti Piwen (czyli Trzeci Kogut) ze Lwowa. Ona wraz z mamą robią różnego rodzaju wianki, które nawiązują m.in. do wianków z centralnej części Ukrainy i są odtworzone ze starych zdjęć. Współpraca z Dominiką była niezwykła. Do pierwszej sesji Dominika przygotowała nie tylko wianki, ale i różne dodatki, które miały po 200, 300 lat, czasem były wypożyczone ze sklepów (we Lwowie na kilku ulicach znajdziesz antykwariaty z ubraniami ludowymi). U nas tego nie ma. Tam aktywnie działa wiele sklepów ze współczesną odzieżą tradycyjną. Na każde wesele Ukrainie ubiera się nie w gamitur Vistuli, tylko w wyszywaną koszulę, która często jest trzy razy droższa niż ten garnitur. Ale za to pojawia się w niej na każdym ważnym przyjęciu. To mi się też spodobało, że młodzi Ukraińcy w naturalny sposób kochają swoją tradycję ludową. U nas mam nadzieję, że to się trochę odrodzi. Jest teraz moda na folk, mam nadzieję, że będzie moda na tradycję. Na Biskupiznie ten sposób myślenia prezentują Biskupianki w Podróżu. Na pewno nie cofniemy się w czasie, nie o to chodzi, żyjemy w XXI wieku, ale ważne jest, żeby łąpać te korzenie i przekazać ten pierwiastek dalej.

Będziecie też poszukiwać inspiracji we wzornictwie polskim czy wielkopolskim?

Jak najbardziej! Zrobiliśmy wideo sesję, która niebawem będzie gotowa. Przez kilka miesięcy gromadziłyśmy rzeczy z różnych stron Polski. Bazą jest dla nas Biskupizna, ale także pojawiają się dodatki np. z Częstochowy. Pojechaliśmy na Ukrainę dużym autobusem załadowanym po sufit ubraniami zebranych głównie przez Magdalenę Wojciechowską (Biskupianki w Podróżu). Dominika na miejscu przygotowała ukraińskie stylizacje i powstały w ten sposób cztery różne portrety, które były bazą do zrobienia wideo sesji i zdjęć. Zależało nam na tym, żeby to były stylizacje, a nie robienie z siebie zespołu pieśni i tańca. Stąd zdjęcie stylizacji biskupiańskiej, w której nie mamy na sobie korali, co może być uznane przez mieszkańców jako niekompletny strój. Jest to jednak spojrzenie współczesnego stylisty, który kocha tradycję, ale nie boi się eksperymentować. Nie-



ARTYKUŁY

do wsi i zbiera muzykę i teksty. Bardziej otwieram się na to, co Pan Bóg mi daje na mojej drodze i od razu w to brnę. Nienawidzę zmarnowanych szans.

Biskupinę tak wykorzystałaś?

Wykorzystałam i będę korzystać z niej bardziej, bo to już nie jest kwestia korzystania, tylko kwestia znalezienia nieznannej dotąd rodziny. Ja tak traktuję panią Anię czy Magdę. Trochę za mało spędziłam czasu z panem Jesiakiem i muszę to nadrobić. Tym bardziej sobie zdalam z tego sprawę, kiedy pan Jesiak ziałam nogę. Bałam się, że jego zdrowie nie pozwoli mu cieszyć się z potańcówek i wspólnych spotkań. Całe szczęście się tak nie stało, ale wraz z Magdą postanowiłyśmy, że będziemy spotykać się regularnie, żeby jak najwięcej utworów nagrać i dać jak najwięcej radości starszym mieszkańcom. Pan Jesiak mówi, że on czeka od Taboru do Taboru, ale między Taborem a Taborem jest jeszcze ileś miasteczka. A to są tacy fajni ludzie. Ja powiedziałam tak: „panie Jesiak, ja w panu widzę cały czas tego młodego chłopka. Gdybym była trochę starsza, a pan młodszy...”. Ale tak serio mówię, że są ludzie, w których widzisz cały czas młodego ducha i pięknego człowieka. I właśnie takimi pięknymi istotami są ludzie na Biskupinie.

Skład zespołu:

Dagmara Gregorowicz – wokal, elektronika
Dana Vynnytska (ukr. Дана Винницька) – wokal, pianino
Mikołaj Pospieszalski – kontrabas, skrzypce
Bartosz Mikołaj Nazaruk – perkusja

Dyskografia:

Meridian 68, 2016, wydawca: Dagadana/NRA Service/Karrot Komando
List do Ciebie, 2014, wydawca: Dagadana, NCK, Etnoteka
Dlaczego nie, 2011, wydawca: Agora
Malenka, 2010, wydawca: Offside Records
Wygadana (EP), 2008, wydawca: Dagadana

Nagrody:

Fryderyk 2016, nominacja w kategorii „Album roku muzyka korzeni” za album *Meridian 68*
Fryderyk 2012, nominacja w kategorii „Album roku folk/muzyka świata” za album *Dlaczego nie*
Fryderyk 2011, nagroda w kategorii „Album roku folk/muzyka świata” za album *Malenka*
Fryderyk 2011, nominacja w kategorii „Fonograficzny debiut roku”

Damian Płowy

Historia regionalna czy region pełen historii? Historyczne kierunki badawcze w powiecie gostyńskim

W listopadzie 2015 roku w gmachu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu odbyło się spotkanie z cyklu „Wielkopolskie miasta i powiaty”. „Bohaterem” tego spotkania było miasto Gostyń oraz powiat. Najlepszymi przewodnikami po samym mieście i powiecie okazali się ludzie, którzy żyją tam na co dzień i pracują – co zresztą dziwić nie może. Dość liczna gostyńska reprezentacja ukazała cały przekrój tego, co dziś wiąże się z tym miastem i powiatem leżącym na południu Wielkopolski. Gospodarka, kultura, oświata, historia, działalność wydawnicza oraz perspektywy rozwoju tego regionu to główne wątki, które zostały poruszone przez prelegentów¹. Celem niniejszego tekstu jest przybliżenie jednego z bloków tematycznych tego spotkania, którym była historia i kierunki badawcze, jakie w ostat-

nim czasie cieszą się dużym zainteresowaniem regionalistów w powiecie gostyńskim².

Historia regionalna, w niedalekiej jeszcze przeszłości, była postrzegana jako „młodsza siostra” historii, a praca lokalnych miłośników Klio była przez zawodowych historyków traktowana z przyziębieniem. Nie brakowało głosów krytyki, wręcz pokpiwania na łamach wielu periodyków, a hasło „historia regionalna” było używane jako synonim twórczości amatorskiej, zajęcia dla hobbyistów, w którym źródła były odkrywane raczej przypadkowo, a metoda badania opierała się bardziej na doświadczeniu i intuicji niż na głębszej refleksji teoretycznej i znajomości warsztatu badawczego historyka³. Działalność badaczy tego nur-

¹ Na spotkaniu w gmachu PTPN-u zabrali głos oraz wygłosili referaty m.in.: kardynał Zenon Grocholewski, burmistrz miasta Gostynia – Jerzy Kulak, profesor Krzysztof Mackowiak, profesor Marian Gortynia, przewodniczący Rady Miejskiej Gostynia – Grzegorz Skorupski, doktorant Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – Damian Płowy. Całość wydarzenia odbywała się pod nadzorem i udziałem dyrektora Muzeum w Gostyniu – Roberta Czuba. Szerzej podsumowanie tego tematycznego cyklu Czytelnik może znaleźć w: D. Chodera-Lewandowska, *Gostyniaci są wśród nas*, „Życie Uniwersyteckie” 2016, nr 1, s. 28-29.

² Prezentowany artykuł stanowi rozbudowaną wersję referatu wygłoszonego przez autora niniejszego tekstu 13 listopada 2015 roku w Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, w cyklu „Wielkopolskie miasta i powiaty” – Gostyń. Tytułowa problematyka nie ogranicza się tylko do dziejów wspomnianego miasta, lecz dotyczy również całego powiatu i miejscowości w nim leżących.

³ A. Chojnowski, *Czy historia może w Polsce wybić się na niepodległość?*, „Res Publica” 1987, nr 1, s. 12; A. Stępnia, *Główne kierunki w historiografii regionalnej i lokalnej [w:] Kronikarz a historyk. Attenty i słabości regionalnej historiografii*, red. J. Spyra, Cieszyń 2007, s. 33 i nast.; J. Topolski, *Wielkopolska w rozwoju historycznym – warunki postępu badań, stan wiedzy i postulaty badawcze*, „Kronika Wielkopolski” 1973, nr 1, s. 24.